

Jaskółka UWIEŻZIONA

„Jaskółka siostra burzy” – śpiewał Stan Borys.
W Operze Śląskiej siostrą burzy była Magda Iwony
Sobotki – pięknym uwiecznionym ptakiem złaknionym
wolności, nawet wtedy, gdy jej klatką
jest wzniosła katedra uczuć Ruggera

✍ Mateusz Ciupka

29.05.2021
Opera Śląska
w Bytomiu
G. Puccini
Jaskółka

Opera Śląska postąpiła ostrożnie, importując spektakl Brunona Bergera-Gorskiego z Meiniger Staatstheater (2019). *Jaskółka* nie jest jednak wyborem bezpiecznym. To Puccini z obcymi jego miłośnikom elementami operetki, opery komicznej, fokstrotem, walcami – trochę Wiednia, trochę Paryża, trochę nadmorskiego kurortu. Ni to *Cyganeria* po 20 latach, ni *Traviata* na wesoło z domieszką *Zemsty nietoperza*. Dużo wszystkiego, ale najmniej tego, co pucciniomaniacy uwielbiają: rozrywających serce arii i duetów z *amore infelice* w roli głównej. Na szczęście w porównaniu z polską premierą w 2003 roku w Operze Narodowej dostaliśmy coś świeższego niż arystokratyczny salon z mosiężnymi świecznikami.

Berger-Gorski przeniósł *Jaskółkę* do połowy XX wieku, o czym przede wszystkim świadczą kostiumy. To dobry pomysł, ale nic z niego nie wynikało. Fakt, że frak zamienił się w marynarkę, a falbany w sukienkę w groszki nic poza estetyką nie znaczył. Zabrakło gry z mentalnością tamtych czasów na Zachodzie – patriarchalizmem, redukcją roli kobiety, dyktatem kapitalizmu, pruderią, z pomrukami nadciągającej kontrkulturowej burzy. Co gorsza, w detalach scenografia Helge Ullmann razi nadmierną umownością – niewymiarowa makietka fortepianu z klapą, która otwiera się nie w tę stronę, co trzeba, przypadkowa biała kanapa, pretensjonalny napis „Morire?” na drzwiach hotelowego pokoju. Wszystko poustawiane jest między nieregularnymi wielobokami przypominającymi wielkie, wbite w podłogę kawałki stłuczonych szyb, na których odbywają się projekcje. Ruch sceniczny, nie licząc baletu, jest chaotyczny, udawane rozmowy, gesty sztywne, nienaturalne. Ten klimat wzmocniony zostaje podczas fety w drugim akcie, gdy chór ląduje w łóżach, na scenie szaleje balet i jest jak na koncercie sylwestrowym. Całość potęguje wrażenie popękanej, nieregularnej, rozpadającej się struktury dzieła i nie pomagają tania symbolika płonącego fortepianu ani próba wzmocnienia finału operetkowym samobójstwem porzuczonego kochanka (pomysł reżyserski).

Na szczęście dzięki Iwonie Sobotce i Andrzejowi Lampertowi można było chwilami przestać myśleć o inscenizacyjnych niedomaganiach. Ona śpiewała *Chi il bel sogno di Doretta*, najlepszą arię tej opery, on czystym, lirycznym tenorem budował rolę bliższą Rodolfowi z *Cyganerii* niż dramaturgicznie blademu Ruggerowi. Dał więcej, niż wymagała partytura. Ona też i dlatego została triumfatorką wieczoru – olśniewała krystalicznym sopranem, perfekcyjnym w górnym rejestrze, ciepłą barwą z łatwością uzyskiwaną w koszmarnie trudnych pianach i opanowaniem technicznym. Głosem potrafiła przełamać swoją arystokratyczną prezencję (wymarzona Aida!). Nieco gorzej poradzili sobie pozostali wykonawcy: Albert Memeti miał kłopoty z intonacją w wysokim rejestrze, a Roksana Majchrowska, choć wzbudzała wiele sympatii, zbyt odstawiała poziomem wokalnym od Sobotki, a nie nadrabiała dystansu zawadiackością. Nie sposób ocenić gry orkiestry, która z powodu związanych z pandemią wytycznych siedziała częściowo w kanale orkiestrowym, a częściowo w miejscu pierwszych rzędów. W takich warunkach uzyskanie spójnego brzmienia jest akustycznie niemożliwe. Z rozproszeniem po sali nie najgorzej radził sobie chór, przyzwyczajony do podobnych utrudnień.

Wolałbym, aby realizatorzy łatwo się nie poddawali i zechcieli powalczyć o *Jaskółkę* – podjąć polemikę z jej niespójnością, znaleźć sposób na obronę dramaturgii, która jest tu głęboko ukryta. *Jaskółka* nie zasługuje na etykietkę „kiepskiego Lehára”, stanowi poważniejsze wyzwanie niż *Cyganeria*, którą wystarczy pokazać w oryginalnym anturażu. Historię romansu, który kończy się, ponieważ on chce stałego związku, a ona jest luksusową prostytutką, da się opowiedzieć tak, aby wstrząsnąć publicznością.

PS Premiera jest świętem teatru. Premiera po wielu miesiącach zamknięcia jest świętem po dwakroć. Przemówienia, nagrody, prezesi, stowarzyszenia, sponsorzy – to są sprawy, które załatwia się za kulisami, najlepiej na bankiecie, a nie na scenie, kładąc zmęczonym i zdeorientowanym artystom robić za dekorację okolicznościowego apelu. Nic bardziej niż owacje na stojąco nie mogło uwzniościć triumfu wolności sztuki, a mnie „przeraziła ta chwila, która jej wolność skradła”.